

Z **JERZYM ILLGIEM**, REDAKTOREM
NACZELNYM WYDAWNICTWA ZNAK,
ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

– Może pani usiądzie na kanapie noblowskiej?

Jest wygodna?

– Tak, niedawno została odnowiona. Kiedyś wypożyczyła ją telewizja. „Dam wam – powiedziałem – ale musicie ją obić, bo tapicerkę poszarpały psy”. Niestety, tapicer okazał się fuszerem i goście zsuwali się z kanapy jak ze ślizgawki. Przydarzało się to też Władysławie Szymborskiej.

A Miłoszowi?

– Miłosz namagnetyzował ją noblowską aurą tak intensywnie, że siedzący na niej na historycznym zdjęciu Władysław Szymborska i Seamus Heaney dostali rok w rok po sobie Nagrodę Nobla. Przyjaciele zaczęli mnie ostrzegać, żebym uważał, kogo na niej sadzam.

Ta piękna szafa biblioteczna, kantorek, etażerka i portrety pochodzą z Książniczek, rodzinnego gniazda mojej mamy. Nad biurkiem wisi portret prababci Obrąpalskiej, do której wszyscy jesteśmy podobni: jej syn, czyli mój dziadek, mama, ja i mój syn Mateusz. Przez nią spokrewnieni jesteśmy z Eugeniuszem Kwiatkowskim. Ten portrecik obok namalowany został przez Siemiradzkiego, który był jednym z dalekich wujów mamy.

**Jednym słowem „matejkowszczyzna”
i krakowskie mieszczaństwo z dziada
pradziada?**

– Ale skąd. Ciągłe czuję się hipisem, któremu bliżej aniżeli do mieszczaństwa jest do korzeni ziemiańskich – dzisiaj należałoby właściwie powiedzieć: inteligenckich. Oczywiście nie mam żadnego poczucia klasowej wyższości, ale kiedy Adam Leszczyński pisze w „Ludowej historii Polski”, że wszyscy jesteśmy z chłopów, to ja mówię: przepraszam, nie wszyscy.

Jeden z moich dziadków, Tadeusz Strumillo, miał do 1945 roku niewielki majątek Książniczek, dwanaście kilometrów na północny wschód od Krakowa. Nie był żadnym obszarnikiem ani wyzyskiwaczem, prababcia założyła we wsi szkołę. Dzisiaj główna ulica Książniczek nosi imię dziadka. Ta rodowa siedziba została zagrabiona w ramach reformy rolnej i z biegiem lat zdezastrowana. W latach 90., po 16 latach starań, odkupiliśmy ruinę, a potem, nie mając środków na remont, sprzedaliśmy. Szczęśliwie nowy właściciel odbudował ją na podstawie rodzinnych fotografii z wielkim pietyzmem. W Książniczkach moja mama i jej rodzeństwo spędzili sielskie dzieciństwo, by po wojnie przenieść się do Poznania, gdzie się urodziłem, a potem do Katowic. Była lekarką i przez całe życie pracowała w szpitalu w Siemianowicach Śląskich.

Wakacje spędzaliśmy, jeżdżąc po Polsce z namiotem i z przewodnikiem w ręce. Skręcaliśmy w różne strony, nakładając drogi, żeby zobaczyć dwory, pałace i dopytywać się o ich właścicieli. Można by rzec, że mamą kierował rodzaj klasowej solidarności.

A czym jest ona dzisiaj?

– Większość tych rezydencji była w ruinie. Współczucie i żal mieszały się we mnie ze złością na triumf barbarzyństwa. To dziwny splot uczuć. Wyobrażałem sobie, co czuli właściciele mający – jak moi dziadkowie – kilkanaście godzin na wyniesienie się z rodzinnych siedzib, w których wychowały się pokolenia, na pożegnanie z ukochanymi końmi, księgozbiorami, obrazami, meblami, często służącymi nowym lokatorom za podpałkę.

**Robi to panu różnicę, czy je pan kolację
na talerzach z Ikei czy na rodzinnej
porcelanie?**

– Wzruszają mnie te wyszczerbione talerze z Białej Cerkwi, łączą mnie one niewidzialną więzią z ludźmi, którzy kiedyś z nich ja-

HIPIS Z KRUCHĄ FILIZANKĄ



Mam w podejrzeniu takich facetów jak Houellebecq,
Palahniuk czy Littell, którzy epatują nihilizmem, by lepiej się sprzedać.
Nigdy nie chciałem wydawać ich w Znaku

dali. Podobnie nieliczne sztuce z rodzinnymi inicjałami czy kryształowe podstawki, o które się je opierało, a którymi puszczałem u dziadków po ścianach tęczowe zażółki.

A dziadkowie od strony taty?

– Drugi dziadek, Jan Illg, prawnik, miał kamienicę na Krzemionkach. Zawsze z dumą podkreślał, że pochodzi nie z Krakowa, ale z Podgórza, które dziś staje się modną dzielnicą. Był oficerem Franciszka Józefa, a potem podobnie jak drugi dziadek brał w 1920 roku udział w wojnie z bolszewikami. Na podgórskim cmentarzu mamy rodzinny grobowiec, gdzie dziadek leży z moją babcią i ojcem. Jestem szczęśliwy, że mieszkam w Krakowie, bo gdyby wbić w mapę cyrkiel, to okazałoby się, że wyładowałem w środku okręgu wyruszonego pomiędzy Książniczkami a Podgórzem.

Nie był to powrót zaplanowany. Wylali pana z roboty na Uniwersytecie Śląskim, a pan z „wilczym biletem” miękko wylądował w redakcji Znak.

– Środowisko Znak zawsze wspomagało ludzi represjonowanych. Po roku 1956 znalazło tu schronienie wielu zrehabilitowanych i wypuszczonych z więzień żołnierzy podziemia, WiN-u i AK, po odsiedzeniu czterech lat w sprawie „taterników” przegranięty został w „Tygodniku Powszechnym” Maciej Kozłowski, w latach siedemdziesiątych publikowali tu pod pseudonimami autorzy objęci w czasach KOR-owskich zakazem druku. W stanie wojennym etat w wydawnictwie Znak podzielono na dwie połówki, jedną ofiarowując świeżo wypuszczonemu z „internatu” Bogusławowi Sonikowi, wiceprzewodniczącemu „Solidarności” regionu Małopolska, drugą zaś – mnie. Taki obrót sprawy był dla mnie raturkiem, ale i jedną z najważniejszych życiowych lekcji.

Mianowicie?

– Wszystko, co nas spotyka, dzieje się po coś. Wydarzenie, które wydawało się unicestwiający kopem w czarną dziurę, okazało się największym dobrodziejstwem, jakie mogło mnie spotkać. Kiedy pomyślę, że mogliby mnie nie wyrzucić z uniwersytetu... Nie poznałbym tylu najważniejszych dla mnie ludzi, Wisławy, Miłosza, Brodskiego, Heaney, Barańczaka, bez których nie wiem, kim bym był dzisiaj.

Proszę, herbata dla pani. Tego ciasta nie powinienem jeść, ale chyba się skuszę.

Dla osłody? Bo boli trochę, nie?

– Co miałoby boleć?

Nie poczuł pan ukłucia żalu, że nie dożył na stanowisku redaktora naczelnego sędziwej starości albo i dalej?

– Co tu dużo gadać, w pierwszej chwili tak. To nie jest mile. Wymagało dogadania się z ego. Ale po pierwsze, to tylko tytuł – bez niego będę robił to samo. Poza tym krzepiąco podziałał na mnie przykład Jaka Woźniakowskiego, mojego ukochanego szefa i późniejszego prezydenta Krakowa. W roku 1992 postanowił, że wycofuje się z kierowania wydawnictwem Znak i to mnie przekazuje stery. Przygniatało mnie brzemień odpowiedzialności za firmę o takich tradycjach, miałem poczucie, że jesteśmy karłami na plecach olbrzymów. Ale jakoś się udało. W przyszłym roku obchodziłbym jubileusz bycia 30 lat redaktorem naczelnym.

Mogli już do tego jubileuszu doczekać.

– Za dwa lata będę obchodził 40-lecie pracy w Znak. Ale nie o jubileusze tu chodzi, choć jak wiadomo, w Krakowie udają się najlepiej. Zyskałem kiedyś przydomek „żywe logo Znak” – może dzięki obecności w mediach, naszym kabaretom i szalonym promocjom takim jak zajazd na Toruń – stałem się rozpoznawalną twarzą Znak. Początkowo była to firma prawie rodzinna. Mieliśmy jeden pokój na ulicy Wiślanej nad redakcją „Tygodnika Powszechnego”.

Dziś, zajmując odrestaurowany przez nas Dworek Łowczego wraz z oficyną i kilkoma oddziałami na mieście, jesteśmy niemal korporacją, a w naszej grupie wydawniczej pracuje ponad 300 osób. Jest Znak Emotikon, Znak Literanova, Znak Horyzont itd., i każdy z tych imprintów ma dyrektora wydawniczego. A ja się unoszę nad nimi niczym przysłowiowy święty starzec nad wodami...

Czyli powiedzmy wprost: Znak to pan?

– Tak nigdy bym nie powiedział. Mógłbym co najwyżej powiedzieć: ja to Znak.

Napisał pan książkę o tytule dwuznacznym: „Mój znak”.

– W tytule „znak” jest małą literą.

Ale jest to opowieść o pana spotkaniach z noblistami, o towarzyszeniu im i o ich zachwycie nad pana poświęceniem.

– Nie tylko z noblistami. To opowieść o szczęśliwym życiu, poznawaniu ciekawych ludzi, przyjaźniach, podróżach, kulcach pracy wydawcy. Nigdy nie mówiłem o zachwycie nad poświęceniem, to byłoby absurdalne i nieskromne – choć Miłosz cenil sobie troskę o jego dzieła i moje oddanie, które nie dotyczyło tylko twórczości. Urządziłem jego krakowskie mieszkanie, po kolejnym przyjeździe z Kalifornii wkroczyli z Carol jak nowożeńcy do umeblowanej sypialni, wyposażonej we wszystko kuchni, w której czekał na nich wielki bukiet bzu.

Uważam siebie za dziecko szczęścia. Nie oczekiwany awans na redaktora naczelnego Znak usytuował mnie nie tylko w branży, ale też towarzysko.

A od tego puchnie ego?

– Nie przejmowałem się za często ego, bo miałem poczucie długu, który trzeba spła-

cać dla niego było najważniejsze, czyli wiersze, dawał Znakowi.

Rozmawiał z nim pan o jego samotności?

– Gdy mieszkalem u niego na Grizzly Peak, rozmawialiśmy nocami, także o tym. Mówił o swoim osamotnieniu w Kalifornii, o tym, że pił do lustra, że nienawidził banalnych palawerów na parties, gdzie z wściekłości upijał się i rzucał na kobiety, aż żona położyła kres tym imprezom. Zapewniałem go, że gdyby żył w Polsce czy nawet w Paryżu, toby go wkręciła kawiarnia, życie literackie, i nie napisałby tej całej biblioteki.

I nie pisałby listów do samego siebie.

– Wysyłał je, by za jakiś czas wyjąć coś ze skrzynki. Wie pani, że on miał swoje biurko nie od strony Zatoki San Francisco, tylko z widokiem na kamienną skarpę za oknem, żeby nie rozpraszać się podczas pracy? Przejmował mnie jego benedyktyński mózół, dyscyplina, dzięki której ratował się przed ciemnymi falami depresji. Miał w sobie czarną przepaść, przed którą musiał się bronić. Wydaje mi się, że pracą usiłował zagłuszyć wyrzuty sumienia z powodu różnych życiowych sytuacji. Wiedział, że koziolkują w nim demony pożądań. W jego wierszach ciągle jest obecne poczucie winy – jak w tym napisanym po śmierci żony Janki, gdzie pisze, że zdradzał ją z kobietami, jej jednej wierny.

Atrakcyjna, samousprawiedliwiająca fraza.

– Możliwe. Ale kobiety też doskonale wiedzą, który mężczyzna pozostaje jeszcze w grze, o czym pisał w „Roku myśliwego”.

Sądzi pan, że po przeprowadzce do Polski z żoną Carol demon samotności przestał mu się dawać we znaki?

Josif Brodski dał mi lekcję wolności wewnętrznej. Powiadał, że ludzie zniewoleni za wszystkie swoje klęski obwiniają władze, system.

Zaś ludzie wolni biorą odpowiedzialność za swój los

cić, i wdzięczności za to, że w przełomowym momencie mojego życia podano mi rękę.

Wiele książek, które stoją tu na półkach, ma wzruszające dedykacje, bo powtarza się w nich i „with love”, i – jak w wypadku Brodskiego – „with tenderness” na przemian „z nieznostiu”. Kontakt z autorami nie sprowadzał się dla mnie do negocjacji warunków.

Co pan poczuł, kiedy Miłosz podpisał panu swój ostatni tom poetycki: „Przełożnikowi Charonowej łodzi”?

– Wręczył mi go bez słowa i popatrzył znacząco w oczy. Otworzyłem, przeczytałem i przeszedł mnie dreszcz. Kiedy w wcześniejszej książce napisał: „Demonowi który nie wie że jest demonem” (bez przecinków, co mu wytknąłem), poczułem się dziwnie, jakby odkrył we mnie coś, o czym nie wiem, ale tym ostatnim wyznaniem namaszczył mnie na towarzysza i opiekuna w jego ostatnich poczynaniach i pewnie potem. Potraktowałem to jako zobowiązanie.

Mam satysfakcję, że to w Znak Miłosz wydawał swoje wiersze. Jacek Woźniakowski wywalczył dla nas pierwszy po Noblu tom „Gdzie słońce wschodzi i kędy zapada”. Pozwolono nam wydać 30 tys., a i 300 tys. by poszło, bo zapanowało szaleństwo, zawiązywały się komitety kolejkowe. Kiedy skończyła się paryska „Kultura”, wymarzyłem sobie, żeby Miłosz miał w Znak swój dom wydawniczy. Jestem dumny, że to, co

– Jej miłość go odmieniła. Kiedy po raz pierwszy po Noblu przyjechał do Polski w czerwcu 1981 roku, pozostawił po sobie wrażenie człowieka wyniosłego i odpychającego. Staralem się zrozumieć jego ówczesny stan ducha. Przypuszczam, że rozważał możliwość interwencji sowieckiej, która położyłaby kres „solidarnościowej anarchii”, a przy okazji zamknęłaby go w matni, z której kiedyś z takim trudem się wydostał. Wiedział, że w towarzyszącej mu wszędzie ekipie telewizyjnej roi się od kapusiów i agentów rejestrujących każde jego słowo, w wielu pytaniach zadawanych na fali zbiorowego uniesienia przez publiczność wietrzył prowokację i podstęp. Miał również dosyć wypychania go przez wdzięcznych rodaków na cokolwiek wieszczą i przyprawiania bogoojczyźnianej „gęby”. Odmawiał wywiadów, nie dawał autografów, niechętnie odpowiadał na pytania z sali. Spięty, czujny i podmiowany. Tymczasem w 2000 roku, rozpoznany na Rynku w Krakowie przez dziewczynki ze szkolnej wycieczki i poproszony o wspólne zdjęcie, chętnie pozował im na tle Sukiennic, dopytując się z rozbawieniem, czy nie chcą autografów. Śmiał się wtedy z moich docinków, że jest niczym niedźwiedz na Krupówkach i strach wyjść z nim na miasto. Tajemnicą tej przemiany była moim zdaniem miłość Carol i szczęście, jakim jej obecność rozświetliła jego późne lata. Złagodniał, zapomniał dawnym wrogom krzywd i pierwszy wyciągał do nich rękę na pojednanie. Być może też

powrót do kraju po latach emigracji, którą przeżywał jako wygnanie, osłodził mu ostatnie lata życia.

Po jej śmierci postawił w mieszkaniu jej popiersie.

– Wzdrygnąłem się, kiedy zobaczyłem go z tą rzeźbą. Była w skalę jeden do jeden i oddawała doskonale fizjonomię i postać Carol. Stawał przed nią, podpierając się laską, albo wpatrywał się w nią z fotela. Życie jakoś opacznie się poukładało. Wszyscy sobie wyobrażali, że to on pierwszy odejdzie, a Carol będzie się opiekować jego spuścizną. Był przy niej, kiedy umierała. Gdy wrócił po jej pogrzebie z San Francisco, bałem się spotkania z nim, bo wiedziałem, jak intensywne uczucie ich łączyło i jak tym bardziej samotna czeka go starość. Nie bardzo sobie wyobrażałem, co mu powiedzieć, jak z nim rozmawiać.

I?

– Było to trudne. Nie pytałem oczywiście o jego ból i uczucia. Towarzyszyłem mu tylko w żalobie i samotności. Chodziliśmy do niego z Bronkiem Majem. Przynosiliśmy mu coś do czytania, żeby trochę zaprzętnąć jego uwagę i oderwać od życiowych bilansów i ciągłych rachunków sumienia. Miałem poczucie, że nie można wchodzić w to za głęboko. Wielokrotnie powtarzałem, jak ciężkim doświadczeniem jest świadomość, że przeżyło się wszystkich ze swojego pokolenia: najbliższych, przyjaciół, kolegów poetów, że samotnego starca otaczają widma. Mogliśmy co najwyżej rozpraszać jego smutki.

Paliliście razem trawę, pili „bourbon, wódkę, dużo wódki”, bywali u siebie i podróżowali, i pan uważał, że „nie można wchodzić za głęboko”?

– Tak. Podróżowaliśmy po Kalifornii, mieszkaliśmy tam u niego, towarzyszyłem mu w Kolonii i Wilnie, byliśmy razem na pogrzebie Brodskiego w Wenecji. Ale zawsze wiedziałem, z kim mam do czynienia, mimo bliskości miałem poczucie dystansu, podziwu i szacunku. Pozwalałem sobie na ryzykowne żarty, które lubił, ale wiedziałem, że muszę uszanować jego tajemnice, nie mogę przekraczać pewnych granic.

„Szczęście jest dostępne” – powiedział Miłosz na jednym ze spotkań w państwie mieszkaniu.

– Kiedy usłyszałem tę frazę za plecami, pomyślałem: „Boże, jakie to cudowne: móc wygłosić coś takiego, mając prawie 90 lat”. Zabrzmiało to niczym aforyzm streszczający w sobie uniwersalną mądrość. Ale kiedy się odwróciłem, zobaczyłem, że ta mądrość, którą brałem za niemal metafizyczne przesłanie, została wypowiedziana nad śledziem w śmietanie i kieliszkiem zmrożonej wódki.

A pan do szczęścia potrzebuje wzniosłości?

– Nie. Wczoraj, kiedy jechałem samochodem aleją pełną drzew, przez które przebiegały się promienie słońca, poczułem spełnienie i radość. Poczułem, że teraz moje życie jest wolne od niepokojów, które nierazko sam sobie fundowałem.

W przeszłości zdarzały się wprawdzie chwile, kiedy samego siebie miałem w po-

zawsze mnie pasjonowały. Zostałem – jak to mówią Amerykanie – editor at large.

To znaczy nadredaktorem?

– Kimś takim. Będę pracował w Znaku Wizerunku, gdzie ukazują się książki niekoniecznie bestsellerowe, ale ważne dla kultury, na które zarząd przeznaczają osobny budżet, realizując w ten sposób naszą misję. Nie będę już żadnym naczelnym, bo w tej dużej grupie wydawniczej takie stanowisko jest fikcją, więc nie będę miał następcy, nie tylko dlatego, że jestem niepowtarzalny (*śmiech*).

Kojące dla ego.

– Kojące jest i to, że nie będę musiał uczestniczyć w zebraniach czy spotkaniach online o książkach, z których żyjemy, ale które nie zawsze dostarczają mi satysfakcji. Tak jest we wszystkich dużych wydawnictwach na świecie – żeby wydawać poezję czy niskonakładowe eseje, trzeba na nie zarobić bestsellerami. Łączenie wysokich aspiracji z sukcesem komercyjnym to najtrudniejsza sztuka w naszej profesji. Znak był przez długie lata w sytuacji wyjątkowej: najlepiej żyliśmy z autorów, z których byliśmy najbardziej dumni. Nobliści, Karol Wojtyła, ksiądz Tischner, Norman Davies, Ryszard Kapuściński, Leszek Kołakowski sprzedawali się doskonale, a zarazem byli tytułem do chwały. Dzisiaj takimi ważnymi autorami są Wiesław Myśliwski, Małgorzata Szejnert, Joanna Bator, Paweł Huelle czy Zbigniew Mentzel – także jako edytor i biograf Kołakowskiego. Z poetów – honorowani licznymi nagrodami Tomasz Różycki, Anna Piwkowska, Marzanna Bogumiła Kielar czy nieodżałowany Adam Zagajewski.

Wojtyła jest powodem do chwały?

– Sprzedaliśmy milion trzysta tysięcy egzemplarzy „Pamięci i tożsamości”... Pomijając, że JP2 prawdopodobnie ukrywał pedofilskie skandale w Kościele, to jego dzieła literackie nie należą do wybitnych. Nie wierzę w to, że tuszował jakiegokolwiek brudy – raczej był dezinformowany i odcinany od wiedzy, która – jak mówiono w jego otoczeniu – „mogłaby Ojca Świętego zmartwić”. Wydawanie jego dzieł, homilii i encyklik traktowaliśmy jako powinność wobec postaci historycznej i ważnej dla nas jeszcze w czasach, gdy był w Krakowie biskupem. Dla środowiska Znaku i „Tygodnika Powszechnego” był w tych trudnych czasach dużym wsparciem, więc nakazywała go wydawać także zwykła lojalność. Szymborska, zapytana w Sztokholmie o jego dzieła literackie, odpowiedziała: „Papież jest nieomylny w sprawach wiary”.

Upierał się pan, by nie wydawać „książek plugawych”. Czy to nie jest forma cenzury?

– Nie, bo uważam, że jest dość wydawnictw, które mogą je wydać i jeszcze na tym zarobić. Wzorem jest dla mnie nieżyjący już „papież” wydawców nowojorskich Roger Straus, współzałożyciel prestiżowej oficyny i – podobnie jak Znak „stajni noblistów” – Farrar, Straus & Giroux, którego przyjaźnią miałem zaszczyt się cieszyć. On autorów „dirty books” pędził jak najdalej od swojego wydawnictwa. Tak było, gdy Bret Ellis złożył mu propozycję wydania głośnej później powieści „American Psycho”.

Odrzuconą przez Strausa książkę opublikował mieszczący się kilka przecznicy dalej Knopf, któremu przyniosła ona krociowe zyski – ale Roger miał satysfakcję, że pozostał wierny swoim przekonaniom. Dokładnie na tej samej zasadzie nie chciałem nigdy wydawać w Znaku książek Chucka Palahniuka, Michela Houellebecqa, Elfriede Jelinek, Eduarda Limonowa czy Jonathana Littella – choćby legiony krytyków wypisywały peany o ich arcydzielnosci, głębi penetrowania fenomenu zła i mrocznych tajemnic duszy człowieka zdolnego do każdej podłości i zbrodni.

Pozbierałem teksty żony o Miłoszu, Brodskim, Böllu, genialny tytułowy esej o Kunderze „Szczęście psa”, bo nie chciałem, by przepadły w rocznikach czasopism. Na tym również polega miłość

Ale dlaczego?

– Ta decyzja była być może podyktowana subiektywnym doświadczeniem. Potwornie mnie poharatano „Salò, czyli 120 dni Sodomy” Pasoliniego. Obejrzałem ten film w czasie pierwszego wyjazdu na Zachód, do Szwecji na zbieranie truskawek albo pracę na zmywaku, nie pamiętam. Siedziałem na widowni i bolało mnie serce, tak pełne okrucieństwa i przemocy były te obrazy. Pisało się wówczas, że Pasolini jest „wielkim moralistą” stawiającym przed oszalałym światem zwierciadło, które ma nim wstrząsnąć – ale ja w to nie wierzę. To był perwers, który przemoc i sadyzm chleptał z wyraźnym upodobaniem. Ten film mnie poranił na długo.

Co to znaczy „poranił”?

– Nasza dusza, czy jak kto woli psyche, ma dosyć kruche ścianki i trzeba uważać, żeby się za bardzo nie szastać, bo wtedy powstają w niej rany. I mnie poraniły te obrazy gwałtów, okrucieństwa i sadyzmu. We wszystkich ważnych dziełach literatury światowej występuje zło, ale mam w podejrzeniu takich facetów jak Houellebecq, Palahniuk czy Littell, którzy epatują nihilizmem dla efektu, by dzięki prowokacji i skandalowi lepiej się sprzedać. Brzydzę się takim podejściem. Kilka lat temu stanąłem przy półce w nieistniejącej już Księgarni Hetmańskiej i zacząłem kartkować pierwszą z brzegu książkę o Afryce. Była to rzecz o Rwandzie i mordujących się plemionach Tutsi i Hutu. I czytam relację, jak żołnierze stają nad kobietą i gwał-

cą ją wszyscy na oczach jej męża, po czym każą się mu z nią kochać i z chwilą, kiedy on jest do tego zmuszony, roztrzaskują mu na niej czaszkę maczeta. Do dziś ten obraz wraca do mnie jak senny koszmar.

Pan się broni przed prawdą?

– Wiem, że zło i różne okrucieństwa na świecie istnieją, mam dosyć wyobraźni, ale wolę oszczędzić sobie takich obrazów, nie chcę tego czytać ani oglądać. Wolę szukać w nim dobra i jasnych stron. Poza tym uważam, że osławianie odbiorców z takimi obrazami może znieczulać na ich wymowę.

mi gwałtownie zatarga jakąś ciemna ręka, że zostaniemy wytrąceni z wygodnej myślowej, duchowej lub moralnej rutyny, że lektura ta zapewni nam przeżycie katharsis, po którym nie będziemy już tacy sami. Wielka sztuka zawsze stawiała i stawia pytania o źródła zła, tajemnicę ludzkiego wnętrza, które sprawiają, że człowiek zdolny jest do czynów strasznych. Ale musi to być wielka literatura, a nie cyniczne żerowanie na sensacji i skandalu.

Literatura wartościowa to dla mnie nie tylko literatura dobra i ambitna, ale też taka, która – nie będąc ślepą na zło – opowiada się ostatecznie po stronie wartości, po stronie dobra.

Chodzącym dobrem określił pan Seamusa Heaney’a. Jakiej lekcji on panu udzielił?

– Prowadząc jego wieczór w ogromnym gotyckim, zawsze lodowatym kościele Świętej Katarzyny na krakowskim Kazimierzu, powiedziałem spontanicznie, że on sam mógłby ogrzać te mury. Miał dobre oczy, które patrzyły na rozmówcę z uwagą, a niejednokrotnie także z czułością. Migotały w nich figlarne iskierki mogące w każdej chwili zapowiadać wybuch potężnego, gargantuicznego śmiechu. Skromny, zwyczajny, wolny od jakiegokolwiek pompy i zadęcia.

Przejęło mnie, że kilka minut przed śmiercią wysłał do ukochanej Marie SMS-a: „NOLI TIMERE!” (Nie lękaj się!), o czym dowiedziałem się od jego syna.

I pana też to zdanie koi?

– Nie tyle odczuwam lęk przed umieraniem, co myślę ostatnio coraz częściej o tym, że niedługo mnie nie będzie. Patrząc na otaczające mnie obrazy, książki, płyty, rodzinne dokumenty i zastanawiam się, dla kogo to potem będzie ważne?

Sądzi pan, że pańskie zbiory powinny być ważne dla pana dzieci?

– Bardzo bym chciał, by miały świadomość tradycji rodzinnej, poczucie więzi z przodkami.

Dlaczego?

– Odcięcie się od przeszłości utrudnia znalezienie busoli i oparcia w wartościach, które pomagają człowiekowi nie pobleździć. Chciałbym, kiedy moje wnuki dorosną na tyle, by mogły to docenić, pokazywać im zdjęcia w starych albumach, opowiadać o pradziadku Strumille, który budował carowi koleje, podróżując po Rosji salonką i grając w niej na blüthnerze Chopina, o wuju Kuncewiczu, który ściął się na olimpiadzie w Amsterdamie z Tarzanem – Johnnym Weissmullerem (mam w kantorku jego medal), czy o prapradziadku Kołodziejskim, który dokonał na Węgrzech zamachu na generała Bema, a potem uwolniony z angielskiego więzienia przywiózł swoją angielską żonę do rodzinnej Ochotnicy sterowcem. Może to naiwne, ale chciałbym, żeby wiedziały, skąd się wzięły i kim są. Bo jak powiada Giuseppe Papini, „kto jest ślepy na przeszłość, ten i w przyszłość biegnie na oślep”. ●

Czasem mogą one też stanowić inspirację – ktoś opowiadał mi, że gdyby po wyjściu z filmu „Urodzeni mordercy” miał kałacha, to prulby do wszystkiego, co się rusza.

Literatura pana zdaniem ma służyć dobru i pięknu?

– Tak. To nie jest zresztą mój pomysł. A pani uważa, że piękno i dobro są czymś wstydlwym? Dziwnie się czuję, broniąc tego, że opowiadam się po stronie dobra.

Czy to nie jest naiwność albo intelektualne wygodnictwo nie dopuszczać do siebie prawdy o zlu?

– Może to jest rodzaj samoobrony, może taka potrzeba zależy od rodzaju indywidualnej wrażliwości? Moja przyjaciółka tłumaczka opowiadała mi, że po tłumaczeniu książki Elfriede Jelinek pełnej nienawiści i gwałtu, a do tego lewackiego bredzenia, była chora przez trzy miesiące. Powiedziałem: „To czemu nie oddałaś tego tłumaczenia? Przykładając do tego rękę, sprawiasz, że teraz podobnie cierpieć będą czytelnicy”.

Rozumiem, ale mam wrażenie, że pan traktuje czytelników z poczuciem wyższości, że nie będą w stanie dokonać krytycznej oceny.

– W żadnym wypadku. Mówię tylko o innym rodzaju odpowiedzialności. Nie unikamy trudnych książek, podejmujących temat zła i przemocy. Wydaliśmy np. „Hańbę” Coetzego, który należy do autorów niestroniących od obrazów drastycznych, mających sprawić, że naszymi wnętrznościami-